

Księga wyjścia – 9

22 kwietnia 2019

Ballada transcendentalna

Tym razem może mniej z fizyki, ale oczywiście bez magii się nie obejdzie. Bo jakże trzeźwieć odrzucając wyobraźnię i fantazję. Ważne, by odpowiednio je ukierunkować. Zresztą nie da się pisać o Kazimierzu Dolnym – magicznym miejscu, pomijając ten jego atrybut. Ale po kolei...



Gdy alkoholik ci coś ukradnie i zapytasz o ów przedmiot, wzruszy ramionami i powie, że nic o tym nie wie. Natomiast jeśli narkoman coś ci podwędzi, to oprócz tego, że się wyprze, pomoże ci szukać, wmawiając że z pewnością gdzieś zapodziałeś. To prawda stara jak świat, ale wciąż się na to nabieram.

Mam nie lada problem z zaufaniem. Nie chodzi o to, że jestem nieufny, wręcz przeciwnie – nie mylić z naiwnością. U większości ludzi na zaufanie trzeba zapracować, w moim przypadku rzecz ma się zgoła odwrotnie. Każdy z poznanych, polubionych i nieodstręczających osób, które poznaję dostaje z góry praktycznie nieograniczony kredyt zaufania. I naprawdę

musi się napocić, by je stracić. Z kilkoma wyjątkami, ale o nich później. Teraz dokończę wątek „zaufania na dzień dobry” i jak je stracić, bo jak już napisałem wcale nie trzeba robić nic, by mieć go do woli. Trochę jak w piosence Bułata Okudźawy:

Pierwsze kłamstwo, myślisz, ech zażartował ktoś.
Drugie kłamstwo – gorzki śmiech, śmiechu nigdy dość.
A to trzecie, gdy już przejdzie przez twój próg,
Głębiej rani cię niż na wojnie wróg.

Ktoś mi powiedział, że wśród narkomanów nie ma przyjaciół, trudno było mi w to uwierzyć i mimo wszystko nawiązywałem relacje. Schemat był dokładnie taki jak w piosence Okudźawy, pewnie dalej bym znosił drobne kłamstwa i próby wyłudzenia drobnych kwot, gdyby nie podniesiony głos z pretensją i jakimś żądaniem. Nie usprawiedliwia tego, że ten ktoś był naćpany, może dlatego nie dostał w zęby. Są rzeczy, których organicznie nie znoszę: krzyk, agresja i niezasłużone oskarżenia. To kasuje nie tylko przyjaźń, ale wszelkie relacje. I nie chcę mieć z kimś takim nic wspólnego.

Z pewnością każdy z Was drodzy czytelnicy spotkał się z ludźmi, którzy ledwo poznani mówili jacy to są słowni, jak dadzą sobie za przyjaciół obciąć rękę, nigdy nie oszukują, zawsze rozliczają się z powierzonej kasy, a lojalność to ich drugie imię. Oczywiście nie zdradzają tajemnic, a wszystko co powiesz zatrzymują dla siebie. Sztandarowym zwrotem jest „ja ci to załatwię”. Oczywiście z tego załatwienia nic nie wychodzi, a to co powiesz w tajemnicy jeszcze tego samego dnia zna całe miasto. Przerabiałem to zarówno na detoksie, jak i w normalnym, miejskim życiu.

Tacy ludzie są zwykle bardzo wylewni i co chwilę podkreślają, że temu lub tamtemu coś załatwili, a jeśli faktycznie w czymś już raz pomogli, to będą co chwilę pytać – pamiętasz, nie było problemu – nawet jeśli tylko poczęstowali papierosem. Gdy spotykam takich ludzi, to zwykle „biorę nogi za pas”, to

znaczy zbywam ich i bez podania przyczyny zrywam znajomość. To o nich pisałem kiedyś w wierszu „nie znoszę kiedy ktoś się zbliża, by szeptem mnie uderzyć w twarz”. Oni zazwyczaj mówią szeptem, maksymalnie zbliżając się do naszej twarzy, co jest o tyle nieprzyjemne, że zazwyczaj mają bardzo nieświeży oddech. Poza tym, ten szept jest podejrzenie konfidencjonalny, tak jakby bali się, że ktoś usłyszy i zdementuje ten złoty pomnik na cokole cnót.

W poradni substytucyjnej – co było zaskoczeniem – dostałem specjalną legitymację (fot), która upoważnia mnie do legalnego posiadania określonych tam medykamentów. Zapewne niejedynemu diler chętnie kupiłby ode mnie ten świstek, ale jak wspomniałem zamierzam trzeźwieć, nie kombinować.

Nie ma nic gorszego dla nałogowca jak święta. Zwłaszcza w małym mieście i mam na myśli nałogowca, którego dochody są tak niskie, że nie stać go na to, by zrobić zapasy. To tylko trzy dni, ale wierzcie mi, jeśli ktoś jest uzależniony od opiatów typu Kodeina, Morfina, Metadon czy Heroina – ciężko to zniesie. Jeszcze gorzej z benzodiazepinami typu Clonazepam, Relanium i tysiące innych dostępnych na rynku. Ci biedacy, jeśli nie mają zapasu, to przeżyją koszmar, a jeśli święta potrwałyby tydzień, to po siedmiu dniach, ten sam żywy, pełen energii człowiek byłby nie do poznania.

Najgorzej jest ostatniego dnia, bo pierwsze dwa dni są jeszcze w miarę znośne, ale w lany poniedziałek już znaczna część moich znajomych nie będzie w stanie podnieść się z łóżka, we wtorek będzie to w ogóle niemożliwe – pozostanie liczyć, że ktoś za znajomych pomoże, przynosząc coś do domu. Wówczas też zwykła porcja nie wystarczy, trzeba władować w siebie dwa trzy razy tyle co zwykle.

Pomijając jednak świąteczne problemy nałogowców, wróć do głównego tematu, czyli „księgi wyjścia”. Zacząłem od stabilizacji, czyli jak już pisałem, zrobiłem rewolucję w mieszkaniu, co sprawiło, że czuję się jakbym kupił nowe,

ponownie zacząłem handlować sztuką w Kazimierzu Dolnym. W 2001 roku wynająłem niewielki lokal u zbiegu ulic Lubelskiej i Krzywe Koło – niektórzy mówią „Magiczne Krzywe Koło”. Tych galerii miałem jeszcze kilka, niemniej ta utrzymywała się do końca. Pomimo wysokich kazimierskich czynszów i gdy ponownie poczułem zew drogi, z innych zrezygnowałem, a tę galerię przejął ojciec.

Ocalił ją, a jego atrakcyjność sprawiła, że wielokrotnie filmowcy użyczali go, by zrobić zdjęcia do jakiegoś filmu. Tak więc galeria była już żydowskim sklepikiem, miejscem gdzie kilka lat przed śmiercią Stanisław Mikulski w mundurze niemieckiego oficera przechadzał się, by następnie wsiąść do samochodu. W tym czasie poproszono mnie o zamknięcie i oklejono wszystko co kojarzyło się ze współczesnością odpowiednimi plakatami. A kilka lat temu galeria za sprawą filmowców-magików stała się gabinetem weterynaryjnym do jakiegoś serialu z Piotrem Fronczewskim i Mateuszem Damięckim. To oczywiście wiązało się z pewnymi przeróbkami. Ekipa filmowa zajęła się wszystkim, łącznie z montażem i demontażem. Atrakcyjnych budynków jest w tym miasteczku cała masa, podobnie jak i galerii – kiedyś liczyłem i wyszło mi, że około setki.

Produkcja filmu polega na tym, że – podobnie jak w sandomierskim „Ojcu Mateuszu” – na miejscu nagrywa się jedynie niezbędne ujęcia, a cała reszta powstaje w Warszawie. Nakręcili więc na zapas ten gabinet, który ponoć do tej pory im służy. Nie wiem, bo nie oglądam telewizji.

Zawsze to jednak jakaś niezapomniana przygoda. I pomimo mojej ponad półrocznej pracy w TVP, zupełnie inna w reżyserii, charakterze i całej tej otoczce. Przez jakiś czas byłem współautorem cyklu filmów dokumentalnych, mam więc porównanie. Przy dokumencie musieliśmy się wyrobić w kilku, a przy serialu trudno policzyć ilość zaangażowanych osób. Inny budżet, inny producent i inne nazwiska. Z pewnością oglądalność filmów dokumentalnych o czyścicielach kamienic cieszy się mniejszym

zainteresowaniem, niż telenowela z weterynarzem w tle.

Wróciłem więc do dawnego zajęcia. I jak na razie dobrze mi z tym. Zająłem się też zdrowiem, a zwłaszcza nadrabiam zaległości stomatologiczne. Po ostatniej wizycie u pani stomatolog, mimo że minął tydzień, wciąż skręcam się z bólu. W pewnym momencie był tak ogromny, że musiałem pójść do szpitala, gdzie dali mi zastrzyk. A inna dentystka podjęła się ambitnego zadania rekonstrukcji mojego uzębienia. Efekt barwnego życia, które wcale nie było kolorowe.

Wracając jednak do magii, Kazimierz Dolny ma to do siebie, że jest ona wyczuwalna na każdym kroku. Począwszy od Cyganek na Rynku (gdybym napisał Romki, dostałbym od nich po łbie), próbowałem kiedyś je uświadomić, ale skończyło się na tym, że jedna z nich powiedziała: „Ja jestem Cyganka i jestem z tego dumna”. Cóż mogłem odpowiedzieć.

W trakcie pisania tego felietonu, przypomniało mi się, że napisaliśmy kiedyś ze Zbyszkim Nitą magiczno-surrealistyczno-abstrakcyjny dramat pt. „Delirium w Kazimierzu”. Ponieważ powstał z pominięciem wydawnictwa, nie ma ISBN. O!t, napisaliśmy, drukarnia wydrukowała i nie bardzo wiedzieliśmy co z tym zrobić, nazwaliśmy to więc wyrób książkopodobny. Zalega więc kilkaset egzemplarzy, których chętnie się pozbędziemy za cenę „co łaska” plus koszt wysyłki. Kontakt przez telefon, redakcję, FB lub maila.

A oto fragment, który jest jednocześnie wstępem: „Tutaj się wszystko zaczyna i kończy. W Kazimierzu Dolnym. Świat, wszechświat, czarne dziury, historia, teraźniejszość i to co wkrótce się wydarzy. Wszystko dzieje się tu i teraz. W sobotę. Udowadnia to ponad wszelką wątpliwość, i pomimo negatywnej opinii garstki radykalnych historyków, niniejszy apokryf[1]. Zaczęło się, gdy na kazimierskim rynku nie było jeszcze studni, w Kazimierzu nie było rynku, między Górą Trzech Krzyży a Wisłą nie było Kazimierza. Góry Trzech Krzyży też nie było, bo chrześcijaństwa nikt jeszcze nie wymyślił. Zamiast Wisły stało puste koryto, w którym zawiązywała się miejscowa

koalicja.

W sadzie za Kamienicą Celejowską siedziała dziewczyna i płakała wniebogłosy. Przechodzący nieopodal, znany wszystkim mieszkaniem Dołów Hipolit Pyton, ulitował się nad nieszczęsną. Podeszedł do niej i powiedział: Nie płacz Ewka, masz jaboła...[2] Gdy tylko światowe agencje podały tę informację do publicznej wiadomości, a następnie potwierdziła to CNN, nie zważając na czyhające niebezpieczeństwa[3], postanowiliśmy przyjechać”.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info

Przypisy

[1] Apokryf – tekst niepewnego pochodzenia, wątpliwej autentyczności. Dotyczy utworów o fałszywym pochodzeniu.

[2] Jaboł – dawny napój owocowy, wytwarzany przez tubylców z miejscowych produktów w nieodległych Kluczkowicach – obecnie nazywany bączkiem, mózgojebem itp. Wśród samicy tego gatunku panowało przekonanie, że udział w produkcji tej cieczy mają siły nieczyste. Podejrzanie to potwierdzała duża zawartość siarki. Wyniki dostępne w centrum...

[3] Niebezpieczeństwa – marskość wątroby, ciężka i przewlekła choroba psychiczna, narażenie życia lub zdrowia z powodu niezrozumienia treści przez prawdziwego patriotę. Utknięcie w Kazimierzu na zawsze”.